

# Rostworowski, Emanuel / Michalski, Jerzy

---

## O dwóch artykułach i jednym liście Jerzego Łojka

---

Przegląd Historyczny 67/3, 515-521

---

1976

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

dowanie poniżej poziomu czasopisma naukowego. Pozwolę sobie jedynie wyrazić zdumienie, że takie sformułowania mogły się pojawić na łamach „Przeglądu Historycznego”, pisma o ustalonej i długoletniej reputacji. Łamy czasopism slawistycznych tego typu co „Canadian—American Slavic Studies” są otwarte dla wszystkich badaczy. Każdy z moich polemistów mógłby z równą łatwością i z wielką wdzięcznością ze strony redakcji zamieścić tam wyniki swoich badań. Co do „pochopnej a bezpodstawnej krytyki innych historyków”, to może byłoby jednak wskazane wspomnienie, iż w przypisie moim, gdzie stwierdziłem lojalnie, że poglądy moje są sprzeczne z poglądami wielu historyków polskich badających epokę Stanisława Augusta, wymieniłem m.in. właśnie prof. Michalskiego i prof. Rostworowskiego? Czytelnicy listu do „Przeglądu Historycznego” lepiej zrozumieliby wówczas powód tej reakcji.

List niniejszy ukaże się w druku zapewne w wiele miesięcy po opublikowaniu wystąpienia pp. Michalskiego i Rostworowskiego. Tekst jego poznałem dopiero po pojawieniu się odnośnego zeszytu „Przeglądu Historycznego” w sprzedaży księgarskiej. Nie od rzeczy będzie więc stwierdzić, że obaj moi polemisci zapewne nigdy nie dowiedzieliby się o publikacji artykułu, który tak bardzo ich wzburzył (gdyż kwartalnik „Canadian—American Slavic Studies”, mimo znacznego rozpowszechnienia w Ameryce i w Europie zachodniej prawie do Polski nie dociera), gdyby niżej podpisany nie przesłał im odbitek tej publikacji natychmiast po ich otrzymaniu, kierując się poczuciem lojalności wobec badaczy, których nazwiska były w jednym z przypisów artykułu wymienione. Skoro tekstu polemiki zaatakowany autor w odpowiednim czasie do wglądu nie otrzymał, wszelkie szczegółowe dyskusje są bezprzedmiotowe. Różne, jak widać, są obyczaje... \*

Jerzy Łojek

#### O DWÓCH ARTYKUŁACH I JEDNYM LIŚCIE JERZEGO ŁOJKA

Autor „dwóch niezwykłych artykułów” zaprezentował się w swym liście jako ofiara napaści bezzasadnej, obelżywej, i wręcz nieuczciwej. Skoro Redakcja „Przeglądu Historycznego” uznała za stosowane ogłosić tę wypowiedź na swoich łamach, musimy ustosunkować się do tego listu. Trudno rzecz skwitować tylko odesłaniem czytelnika do tego, co już ogłosiliśmy w „Przeglądzie” i zalecić jedynie porównanie postawionych tam zarzutów z tekstem odpowiedzi. Jerzy Łojek stara się bowiem rzeczy oczywiste zagmatwać. Wypadnie więc poświęcić tej sprawie więcej miejsca aniżeli jej wyczerpane już *meritum* zasługuje i powtórzyć sporo sformułowań, które w świetle nadesłanego listu nabierają dodatkowej wyrazistości.

1. Sprawy uboczne. Obrona J. Łojka idzie po linii zawężenia płaszczyzny sporu, tak iż w końcu dochodzi do wniosku, że jedyny sensowny nasz zarzut tyczy „zaniedbania” podania jakiegoś tam przypisu. Temu usiłowaniu zawężenia płaszczyzny służy niezgodne z prawdą twierdzenie, iż bezzasadnie mówimy o „dwóch artykułach”, bowiem w naszym wystąpieniu „brak jest jakiegokolwiek polemiki odnoszącej się do tekstu polskiego” (artykułu z „Przeglądu Humanistycznego”). Obszernie cytując ów „polski tekst” przeprowadziliśmy na

\* Odpowiedź docenta dra J. Łojka na list J. Michalskiego i E. Rostworowskiego, zamieszczony w zesz. 4 „Przeglądu Historycznego” z 1975 r. Redakcja drukuje *in extenso*, pozostawiając mu zupełną swobodę wypowiedzi. Jednocześnie Redakcja ogłasza replikę na powyższą odpowiedź, na czym, stosując się do obyczajów przyjętych w czasopiśmiennictwie naukowym, polemikę zamyka (*przyp. Redakcji*).

jego podstawie całą polemikę dotyczącą „paryskiego odkrycia”. W dziwnej sprzeczności z samym sobą J. Łojek spory ustęp swego listu poświęcił właśnie naszej krytyce „polskiego tekstu”. W obu ściśle ze sobą związanych artykułach poza płaszczyzną dyskusji pozostaje jedynie to, co J. Łojek powiedział (obszerniej w „polskim tekście”, krócej w „amerykańskim”) na temat archiwum ambasady rosyjskiej w Warszawie, referując ustalenia Wacława Tokarza, informacje Szymona Askenazego i relację pamiętnikarską Natalii Kickiej. Natomiast wszystko co stanowi oryginalny wkład J. Łojka było przedmiotem krytyki. Nie zajęliśmy się więc „fragmentem”, jak to J. Łojek określił, artykułu „amerykańskiego”. Omówienie instrukcji dla Stackelberga i wydanie jej tekstu zajmuje 17 stron druku, cała reszta niespełna 3, a więc „fragment” stanowi 85% całości.

J. Łojek odnajduje klucz do naszego wystąpienia w różnicy poglądów na postawę Stanisława Augusta i w „irytacji” spowodowanej tym, że na łamach amerykańskiego czasopisma przypisał nam w owej materii „pogląd całkowicie błędny” (*opinion complètement fausse*). „Nadmiernie zirytowani” „dwaj panowie” szukają więc dziury w całym. Jest to próba zwększenia polemiki na boczny w tym przypadku tor, bowiem w związku z „niezwykłymi artykułami” nie podjęliśmy dyskusji na temat Stanisława Augusta i nie zamierzamy jej teraz podejmować. Przejdźmy do *meritum* sprawy.

2. „Paryskie znalezisko”. W 1939 r. Czesław Chowańiec wydał w Krakowie „Katalog Biblioteki Polskiej w Paryżu”, podając szczegółowy opis rękopisu 29 zatytułowanego: „Archiwum Ambasady Rosyjskiej w Warszawie z lat 1763—1794”. Mamy tu m.in. wymienioną pozycję: „Instrukcja dla Stackelberga podpisana przez Panina, Peterhof sierpień 1772. Oryg. z pieczęcią”.

Chętnie teraz wierzymy słowom listu, że gdyby nie „Katalog” Chowańca to autor „nie dotarłby oczywiście do omawianego zbioru dokumentów”. Zwroćenie przez nas uwagi na „przemilczenie” istnienia tego „Katalogu” nie wydaje się nam jednak bynajmniej „zabawne”. Nie uważamy też, aby zarzut „przypisywania sobie tytułu odkrywcy” był bezzasadny. W artykule amerykańskim, nie wspominając o żadnych „inwentarzach”, ani nie stosując żadnych cudzysłowów, J. Łojek napisał: „*Nous avons trouvé et étudié ce dossier à l'automne 1972*”. W nazwanych zaś „morałem” ostatnich słowach artykułu z „Przeglądu Humanistycznego” mówi o „odnalezieniu przynajmniej części źródeł, które z pozoru bezpowrotnie dla badaczy przepadły”. Kiedyż to „odnalezienie” nastąpiło? Poucza o tym opowieść jako to J. Łojek, czyli „historyk, który nigdy nie powinien zupełnie tracić nadziei”, jesienią 1972 „prowadził poszukiwania źródłowe w Bibliotece Polskiej w Paryżu”, jak zwrócił tam uwagę na „zbiór rękopisów” w inwentarzu „opisany zagadkowo jako „papiery ambasady rosyjskiej w Warszawie z lat 1763—1794” i że dopiero gdy dostał do rąk owe rękopisy „okazało się, iż rzeczywiście trzymam w ręku zbiór papierów z dawnego archiwum ambasady imperatorowej Katarzyny II. I to zbiór nie byle jaki”. Przemilczając fakt istnienia wydanego katalogu Chowańca, wymieniającego na przeszło dwóch stronach gęstego druku zawartość papierów ambasady, J. Łojek oświadczył, że „trudno wyszczególnić to wszystko co ocalało w rękopisie”. Podając o tym dziesięciowierszową informację, pozostawił jednak czytelnikowi niedwuznaczną sugestię, że pierwszy wprowadził w naukowy obieg wiadomość o owym „znalezisku”. Następnie zaś postawił „pytanie zasadnicze i nieco żenujące”, a mianowicie dlaczego, choć „rękopis ten widnieje w inwentarzach od lat kilkadziesiąt” i „natykało się na niego wielu badaczy, wśród których przynajmniej kilkunastu powinno było już dawno zwrócić uwagę na wartość źródłową papierów... nikt nie zauważył, o jakiej wagi dokumenty się ociera... nikt nie zastanowił się, co

to za tajemniczy zbiór papierów mieści się na półkach Biblioteki przy nr 6, Quai d'Orléans".

Żaden poważny „badacz” nie będzie powtarzał, zwłaszcza jako rewelacji, że wyczytał coś w drukowanym, ogólnie dostępnym, katalogu. Zarzuty J. Łojka byłyby zasadne jedynie w tym przypadku, gdyby wykazał konkretnym autorom nie uwzględnienie znajdujących się we fragmencie archiwum ambasady materiałów, które wchodziły w zakres tematyczny ogłaszanych przez nich prac. Nb. przypomnieliśmy w naszym liście, że rękopis ten był wykorzystany (w odpowiednim zakresie) w pracy J. Michalskiego z r. 1960 „Sejmiki poselskie 1788”. Dziwią więc słowa repliki: „Skłonny jestem wierzyć, że obaj autorzy listu źródła te oglądali”.

Przejdźmy do sprawy bardziej zasadniczej, którą J. Łojek pochopnie postawił w „Przeglądzie Humanistycznym”, najniefortunniej rozwinął w „Canadian—American Slavic Studies”, a w liście do Redakcji „Przeglądu” zagmatwał już ostatecznie. Chodzi o znajdujący się w „znalezisku paryskim” dokument, „którego — jak pisze J. Łojek — nikt uprzednio nie wyzyskał, a który ma znaczenie zupełnie fundamentalne” i „w wielu punktach zmienia całkowicie dotychczasowe poglądy historiografii polskiej na wiele najistotniejszych problemów historii politycznej Rzeczypospolitej w latach 1768—1772” („Przegl. Humanistyczny”, s. 128).

3. „Nieznana instrukcja”. Autor listu przyznaje, że „dużym zaniedbaniem” z jego strony był brak podania informacji „w jednym z przypisów” iż „pierwotna wersja instrukcji dla Stackelberga” była już wydana w „Sborniku” w 1904 r. Po czym oświadcza: „Jednakże wszelkie dalej idące zarzuty obu polemistów muszą uznać za całkowicie bezpodstawne”. Sprawą „pierwotnej wersji” zajmiemy się później. Teraz przypomnijmy co J. Łojek napisał w amerykańskim czasopiśmie (nie będziemy już cytować — jak to uczyniliśmy poprzednio — dwujęzycznie, ale w polskim tłumaczeniu). Stwierdziwszy, że instrukcja dla Stackelberga jest „najciekawszym i najważniejszym dokumentem” z całego rękopisu Biblioteki Polskiej, dodaje: „Aby ocenić wartość takiego dokumentu, wystarczy powiedzieć, iż dotąd nie jest znana jakkolwiek inna tajna instrukcja rządu rosyjskiego dla swego posła czy ambasadora w Polsce, jakiegokolwiek epoki by to tyczyło... Żaden z historyków interesujących się historią polityczną Polski XVIII wieku nie znał tego cennego dokumentu”.

Zauważyliśmy, że w podstawowym wydawnictwie rosyjskim („Sborniku”) w serii „Politycznej korespondencji Katarzyny II” poza wspomnianą instrukcją dla Stackelberga (t. 118, s. 176—190) wydane są instrukcje dla jego poprzedników: Kayserlinga i Repnina (t. 51, s. 92—101), Wołkońskiego (t. 87, s. 372—404) i Salderna (t. 97, s. 216—228). Ponadto instrukcja dla Kayserlinga i Repnina wydana była jeszcze dwukrotnie. Wszystkie te cztery instrukcje były cytowane w literaturze przedmiotu przez takich historyków jak Sołowiew, Askenazy, Konopczyński i Kaplan (Sołowiew i Konopczyński zajęły się też w sposób kompetentny „odkrytą” przez J. Łojka instrukcją dla Stackelberga). Trzeba sobie postawić pytanie. Albo „odkrywca” znał te podstawowe pozycje z zakresu wydawnictw źródłowych i literatury przedmiotu, lecz swą wiedzę celowo utaił. W takim wypadku postąpiłby nieuczciwie. Tę możliwość wykluczamy. Albo J. Łojek wydanych instrukcji i omówienia ich w literaturze nie znał, a więc wykazał, jak to w sposób rzeczowy określiliśmy, „zupełną nieznajomość zarówno wydawnictw źródłowych jak opracowań”. Według autora listu zarzut ten jest bezpodstawną „inwektywą”.

Co zrobić, żeby nie okazać się ani nieuczciwym, ani ignorantem? Autor listu pisze, że „istotnym powodem jego decyzji wydania instrukcji dla Stackelberga,

był „fakt, że dokument ten nie był dotychczas wyzyskany w żadnym z opracowań, odnoszących się do sytuacji Rzeczypospolitej w latach 1772—1775, w sposób adekwatny do jego rzeczywistej wartości źródłowej”. Jak jednak J. Łojek mógł osądzić, czy Sołowiew i Konopczyński wyzyskali instrukcję dla Stackelberga „w sposób adekwatny” skoro wyraźnie stwierdził, że nikt przed nim tej instrukcji nie znał. Lepiej byłoby przyznać się, że na Sołowiewa i Konopczyńskiego zwrócili mu uwagę dopiero „dwaj panowie”. Lepiej też byłoby wyraźnie wyznaczyć nieznajomość tekstu instrukcji wydanego w „Sborniku”. Czy można mówić o „zaniedbaniu” (podania przypisu) w odniesieniu do czegoś, co w ogóle nie dotarło do świadomości. Przecież podanie tekstu przypisu byłoby nie do pogodzenia z tym co napisano we wstępie. Co dziwniejsze J. Łojek do tej pory nie przypatrzył się tekstowi wydanemu w „Sborniku”.

Porównując tekst wydany w „Sborniku” z tekstem wydanym przez J. Łojka (nie mieliśmy pod ręką paryskiego oryginału), stwierdziliśmy, że ten ostatni jest gorszy. Nie mamy do czynienia z dwoma wersjami czy redakcjami instrukcji, ale z licznymi i zniekształcającymi sens błędami kopisty, które można stwierdzić na podstawie jakiejś takiej znajomości języka francuskiego (*joint* zamiast *point*; *après* zamiast *d'après*; *il a agit* zamiast *il s'agit* itd.). Podaliśmy sporą listę takich oczywistych błędów o charakterze erraty. Jest rzeczą nader wątpliwą, aby tego rodzaju błędy mogły obciążać petersburskiego skrybę ministerialnego, istnieją natomiast wszelkie prawdopodobieństwa, że odpowiedzialność za nie spada na paryskiego odkrywcę i amerykańskiego wydawcę. J. Łojek chciał zrozumieć wskazane przez nas zniekształcenia w sposób dziwnie opaczny. „Jeżeli tekst tego brulionu (wydanego w „Sborniku”) różni się nieco od ostatecznej wersji dokumentu, to powoływanie się na te różnice dowodzi jedynie złej woli polemistów... Ważne jest to brzmienie dokumentu, które otrzymał od rąk Otto von Stackelberga, nie zaś pierwotny jego tekst, w wielu miejscach niewątpliwie zmieniony przed ostatecznym przepisaniem i podpisaniem — który był podstawą edycji z roku 1904”. Niechże wreszcie J. Łojek weźmie do ręki „Sbornik” i przekona się, że wydany tam tekst „ministerialny” jest „ostateczny” i nie różni się w niczym od tekstu „ambadorskiego” poza zawinionymi przez niego samego błędami.

W ministerstwach spraw zagranicznych znajdują się tak zwane „koncepty” lub „minuty” instrukcji, na podstawie których sporządza się dla ambasadorów zaopatrzone pieczęciami i podpisami czystopisy-oryginały, a często również kopie służące jako załączniki do różnych pism dyplomatycznych. Wystawca (centrala) musi mieć oczywiście dokładny zapis tego, co zostało przekazane odbiorcy (placówce). Dla historyka „minuta” bywa źródłem bardziej interesującym niż tzw. oryginał, bowiem nieraz znajdują się na niej skreślenia i dopiski, pozwalające śledzić ostatnią fazę ustalenia tekstu dokumentu dyplomatycznego. Te ewentualne skreślenia i dopiski poprzedzają „zatwierdzenie” minuty, która przechodzi w ręce kopisty sporządzającego czystopis-oryginał. Klasyczne wydawnictwa korespondencji dyplomatycznej, jeśli idzie o pisma wychodzące z centrali, w ogromnej większości opierają się na „minutach”. W obecnej praktyce edytorskiej zaleca się uwidocznianie śladów redakcyjnej pracy oraz w miarę możliwości porównywanie „minut” z „oryginałami”. To ostatnie niekiedy bywa celowe nie tylko ze względów formalnych lecz i merytorycznych. Np. w rosyjskim ministerstwie, w każdym razie według rozeznania wydawców „Sbornika”, nie zachowała się francuska „minuta” instrukcji dla Kayserlinga i Repnina, lecz jedynie jej rosyjski „koncept”. W takim przypadku porównanie rosyjskiego tekstu ze „Sbornika” z warszawsko-faryskim francuskim oryginałem (wydanym w r. 1862 przez d'Angeberga-Chodźkę) mogłoby być edytorsko pożyteczne. Porównując nato-

miast petersburską edycję instrukcji dla Stackelberga z okaleczonymi licznymi błędami wydaniem J. Łojka nie znaleźliśmy żadnego wariantu, poza tym, że w „minucie” jest data dzienna, podczas gdy w „oryginalu” — rzecz dziwna — jej brak (uwidocznił to już dokładny Chowaniec).

Pisząc „dwa niezwykle artykuły” J. Łojek nie znał „Sbornika” a i potem nie porównał „minuty” z „oryginałem”. W swym liście do Redakcji wprowadził bałamutne wywody o rzekomych dwóch wersjach instrukcji dla Stackelberga, a jako edytor „dokumentu...”, którego treść musi być uznana za ostateczną i jedynie miarodajną”, nie wniósł nic prócz zniekształcających tekst błędów.

4. „Nie zrozumienie przekazu źródłowego”. W naszym przekonaniu J. Łojek, jako historyk stosunków polsko-rosyjskich za Katarzyny II, bardziej jeszcze niż niezajomością źródeł i opracowań oraz edytorskim niedbalstwem skompromitował się interpretacją dokumentu (instrukcja dla Stackelberga), tym razem wreszcie przeprowadzoną „w sposób adekwatny do jego rzeczywistej wartości źródłowej”. Pisaliśmy już o tym, ale skoro Autor listu do Redakcji swym wystąpieniem nastęrcza po temu sposobność, warto rzecz rozwinąć.

Instrukcja dla Stackelberga z 11/22 sierpnia 1772, tak jak na ogół obszerne instrukcje „inicjalne” z owych czasów, zawiera mniej „sekretów”, a więcej gotowych wzorów argumentacji i frazeologii, którą udający się na nową placówkę poseł ma się posługiwać w rozmowach z czynnikami miejscowymi i przedstawicielami innych mocarstw. Były to — jak określono w instrukcji dla Stackelberga — „les moyens de persuasion à employer vis à vis d'eux”. Właściwej wymowy politycznej nabiera taka instrukcja w połączeniu z załącznikami, poufnymi informacjami i zaleconymi poufnymi kontaktami, a zwłaszcza w świetle dalszej korespondencji z centralą. Jeśli chodzi o początki misji Stackelberga, to Władysław Konopczyński cały ów kontekst najlepiej znał i w sposób najbardziej „adekwatny” przedstawił w swej podstawowej „Genezie i ustanowieniu Rady Nieustającej” (Kraków 1917). Dla J. Łojka instrukcja inicjalna jest natomiast jak gdyby źródłem „jedynym”. Widzi więc rzeczy ważne w banalnych lub nieszczyrych a przeznaczonych głównie na zewnętrzny użytek wywodach retrospektywnych o stosunkach polsko-rosyjskich i genezie pierwszego rozbioru.

Interesujące są te punkty instrukcji, które dotyczą metod ugruntowania kuratelii rosyjskiej nad okrojoną Rzeczypospolitą. J. Łojek zauważył jako szczególnie interesujący motyw antymagnacki, swoiście proslachecki i „republikancki”. Ale o tym motywie polityki Nikity Panina z większą kompetencją i w szerokim kontekście pisał już przed 50 laty Konopczyński, a idąc za nim dość obszernie E. Rostworowski w „Ostatnim królu Rzeczypospolitej” (Warszawa 1966, s. 72—74). Tę ostatnią książkę J. Łojek na pewno znał. Gdyby jako komentator tekstu ograniczył się do streszczenia instrukcji dla Stackelberga, to wprawdzie nic by do nauki nie wniósł, ale też niczym nie zawinił, poza wytwarzaniem atmosfery pseudo-sensacji. Gdzież bowiem te punkty „zmieniające całkowicie dotychczasowe poglądy historiografii polskiej na wiele najistotniejszych problemów”? Zapoznamy się z nimi jeszcze. Bowiem J. Łojek raz jeden wdał się w interpretację tekstu... i stało się nieszczęście.

Kaysersling, Replin (od r. 1764), Wołkoński i Saldern byli ambasadorami Za panowania Katarzyny II konsekwentnie starano się o to, aby jedynie przedstawiciel Rosji miał w Warszawie rangę ambasadora. W okresie przeprowadzania pierwszego rozbioru wypadało jednak działać przy zachowaniu pozorów formalnej równości Rosji, Austrii i Prus. Stackelberg pojechał więc do Warszawy jako minister pełnomocny (ambasadorem miał zostać dopiero po załatwieniu sprawy rozbioru, w r. 1775). Wiązą się z tym pozbawione znaczenia

politycznego zalecenia o charakterze czysto protokolarnym. Wręczając listy wierzitelne ma Stackelberg „przestrzegać w czasie tego aktu publicznego tej samej etykiety, która była stosowana do ministrów rosyjskich tejże rangi, doznając tych samych honorów i wyróżnień co oni, w niczym nie ustępując, ale też nie roszcując sobie niczego ponadto. Zresztą, skoro charakter ministra pełnomocnego jest w najmniejszym stopniu określony etykieta, w stosunkach z ministrami innych dworów ograniczy się pan do najdoskonalszej jak tylko możliwe równości, która, jak pan wie, jest zasadą etykiety rosyjskiej, nie wymagając pierwszeństwa (*préséance*) ani go nikomu nie ustępując”.

To właśnie jest ustęp, który J. Łojek uznał za najbardziej rewelacyjny i rzucający nowe światło na stosunki polsko-rosyjskie za Katarzyny II. Przypomnijmy co napisał: „Instrukcja cesarzowej z roku 1772 bynajmniej nie upoważniała Stackelberga do roszczenia sobie w Warszawie szczególnej pozycji przy królu, do odgrywania roli wicekróla czy nawet »nadkróla«. »W niczym nie ustępując — mówi instrukcja — ale też nie roszcując sobie niczego ponadto« w korpusie dyplomatycznym Warszawy, Stackelberg powinien się ograniczyć jedynie do »najdoskonalszej jak tylko można równości w stosunku do ministrów innych dworów«. Wszystko więc co Stackelberg zdołał uzyskać w stosunkach z rządem Rzeczypospolitej dokonał sam przez się i na własne ryzyko, dzięki doprawdy niebywałej słabości charakteru króla”.

Jak zaznaczyliśmy, nie zajmowaliśmy się sprawą „charakteru króla” ale logicznym związkiem między przesłanką a wnioskiem. Pozostawiamy czytelnikom osąd co do poprawności zademonstrowanego wnioskowania J. Łojka i czy „gołosłownym, rzecz jasna”, był zarzut „zupełnego — jak pisaliśmy — niezrozumienia treści ostatnich i nieistotnych punktów instrukcji omawiających sprawy protokołu dyplomatycznego ...i w ogóle nie mających nic wspólnego z rolą polityczną Stackelberga, jego pozycją w Polsce oraz stosunkiem do króla i władz Rzeczypospolitej”.

5. „Towar eksportowy”. Trzeba stwierdzić, że publikowanie za granicą prac z zakresu historii Polski wymaga szczególnego poczucia odpowiedzialności, prace te bowiem w minimalnym stopniu podlegają rygorom fachowej oceny. Odbiorcy eksportowej szynki mogą doskonale sprawdzić jakość towaru. Odbiorcy mocno nieświeżego i podanego w wiadomym opakowaniu eksportowego Stackelberga mają wszelkie dane aby wierzyć na słowo i przyjmować towar jako to, co zostało im zaferowane<sup>1</sup>. Wśród Polaków zaś panuje powściągliwość aby „nie szkodzić imieniu polskiemu”. Nasz list skierowaliśmy też do Redakcji „Przeglądu” a nie — co może byłoby właściwsze — do redakcji „Canadian—American Slavic Studies”. Sądziliśmy zresztą, że może J. Łojek sam zamieści odpowiednie sprostowanie w owym czasopiśmie, skoro J. Michalski w prywatnym liście z 6 października 1974 powiadomił go o zarzutach, jakie w 16 miesięcy później opublikowaliśmy w „Przeglądzie Historycznym”.

6. „Różne obyczaje”. Warto sobie jeszcze wyjaśnić, jakich to trzeba warunków, aby była możliwa „szczegółowa dyskusja”. Czy fakt otrzymania egzemplarza, autorskiego zamyka usta obdarowanemu specjalście? Chyba nie, bo tym sposobem łatwo byłoby wyciszyć nie tak znowu szeroki krąg potencjalnych krytyków. Nie sugerujemy, iżby w tym celu J. Łojek rozesłał pol-

<sup>1</sup> Niech świadczy o tym zdanie, które znalazło się w charakterystyce J. Łojka zamieszczonej w publikacji polonijnej fundacji Jurzykowskiego (*The Alfred Jurzykowski Foundation Awards for 1974*, New York City 1974, s. 13): „La politique de la Cour russe envers la Pologne...” recently published in the Canadian—American Slavic Studies in Pittsburgh, has been acclaimed as an original discovery of secret instruction pertaining to diplomatic relations between the Russian Ambassador Stackelberg in Warsaw and St. Petersburg, which created a sensation among international historical circles”.

skim historykom odbitki swego amerykańskiego artykułu. Zapewne uważał ten artykuł za swój naukowy sukces. Ale działając w kierunku poszerzenia obiegu drukowanego tekstu autor tym samym działa w kierunku poszerzenia możliwości jego publicznej oceny. Czyżby można było dyskutować jedynie z tekstem w maszynopisie a nie z wypowiedzią ogłoszoną drukiem? J. Łojek pisze, że „skoro tekstu polemiki zaatakowany autor w odpowiednim czasie do wglądu nie otrzymał, wszelkie szczegółowe dyskusje są bezprzedmiotowe”. Nie rozumiemy dlaczego. Przecież autorzy z reguły zapoznają się z drukowanymi już recenzjami swoich prac.

W swym liście J. Łojek zarzuca nam różne brzydkie rzeczy, m.in. „tendencyjne” usunięcie cudzysłowu przy słowie „odkrywca” („nieładnie, proszę pań...”). Jest to sprawa cudzysłowu w cudzysłowie, który zaznaczyliśmy, ale który wypadł w adjustacji. Zresztą opuszczenie tego cudzysłowu nie zmieniło sensu cytowanego ustępu: „Powstaje w tym miejscu pytanie dość zasadnicze i nieco żenujące: w jaki sposób swoiste odkrycie dokumentów tego znaczenia mogło być dokonane jeszcze w roku 1972?... Natykało się na niego wielu badaczy... Nikt nie zastanowił się...” itd. Przydawka „swoiste” już poniekąd spełnia rolę cudzysłowu a informacja o niewydarzonych poprzednikach zaznacza, że „odkrywca” nie był pierwszym, który się „natknął”.

Poza tą cudzysłowową subtelną J. Łojek przypisuje nam już z całą swobodą i poza strefą argumentacji „złą wolę”, „nadmierną irytację”, „głosłowne, rzecz jasna, stwierdzenia”, posługiwanie się „inwektywą” oraz sprowadzanie dyskusji na tory „już zdecydowanie poniżej poziomu czasopisma naukowego”, za co skarcono również Redakcję „Przeglądu”. Nie jest dobrze, kiedy polemika przeradza się w kłótnię, trzeba jednak nazwać rzeczy po imieniu. Przemilczenie jest przemilczeniem, nieznanostwo jest nieznanostwem, niezrozumienie jest niezrozumieniem, reklama jest reklamą, wreszcie kompromitacja jest kompromitacją.

*Jerzy Michalski, Emanuel Rostworowski*